



Wiktorja Blacharska

Z Tukumsu do Piły

Koniec grudnia 1958 roku. Choć tego jeszcze nie wiem, jestem w podróży mego życia. Z byłej Polski do nowej Polski. Jedziemy długo pociągiem w nieznaną, gdzieś na Zachód, na ziemię, którą ktoś dla nas i za nas nazwał *Odzyskaną*, choć dziś bardziej pasowałoby *Zabrana*.

– Ja nie chaczę w Polsku! – krzyczał pięcioletni Aleksander Jewicz i był to krzyk wielu dzieci.

Ja nic z tej podróży nie pamiętam. Ani tego, że płakałam za babcią Helą, która została zagrożona w rozpaczy na peronie w Tukumsie, ani tego że ponoć wyciągałam rączki do starszej pani w pociągu, która przypominała mi babcię, ani tego, że ojciec ze stresu dostał prawie zawału w pociągu i ledwie go odratowali, ani tego że pociąg w końcu się zatrzymał i wysadzono nas gdzieś na Ziemiach Zachodnich w tzw. *Punkcie Eta-powym*, gdzie mieliśmy czekać na przydział mieszkania.

Dopiero po latach, gdy jestem już dużo starsza od moich jadących wtedy pociągiem repatriacyjnym czterdziestoletnich wówczas rodziców zastanawiam się, czym była ta podróż dla nich, jak mogli się wtedy czuć, co myśleli, czego się bali, co sobie wyobrażali jadąc w nieznaną, jak wielki smutek odczuwali porzucając swoich bliskich i ziemię, po której przez tyle lat stąpali. Urodzili się przecież w międzywojennej Polsce wśród przepięknych pagórków i jezior Braślowszczyzny zwanej też z uwagi na krajobraz „Finlandią II Rzeczypospolitej”, chodzili do polskiej szkoły, polskiego kościoła, gdy nagle ich młodość przerwała II wojna światowa. Po wojnie na

skutek decyzji jałtańskich i woli Stalina znaleźli się mimo przebywania w tym samym miejscu w innej rzeczywistości – komunistycznym Związku Radzieckim. Zmieniano szyldy, niszczone to co polskie, likwidowano kler i kościoły, na siłę rusyfikowano, strach było przyznać się do polskości, nie wiadomo było co robić, jak żyć na biednej, prowincjonalnej białoruskiej ziemi. Wielu Polaków wyjeżdżało wówczas do Polski uciekając od Sowietów, obawiając się szykanowania i trwających również jeszcze po wojnie wywózek na Syberię.

Rodzice byli jeszcze zbyt młodzi na taką decyzję. Pobrali się w 1947 roku i jakoś chcieli zacząć żyć w tym innym już świecie. Trudności ze znalezieniem pracy i bieda wielu ludzi skłaniała do wyjazdów do bogatszej łotewskiej ziemi. Podążyła tam część rodziny mojej mamy i z czasem dołączyli do nich moi rodzice. Około dwóch lat pracowali w łotewskim kolchozie, ojciec na stanowisku zarządcy, mama doila codziennie ręcznie kilkudziesięciu kolchozowych krów. Czasem odwiedzali rodzinę ojca pozostałą w rodzimym gnieździe nieopodal Braśławia. Żyła jeszcze matka mojego ojca – babcia Maria, której nigdy nie poznałam, a dzięki której znaleźliśmy się w Polsce. Ona bowiem, będąc wielką polską patriotką, wciąż powtarzała memu ojcu, że Polska już tu nie wróci i że on musi do niej wyjechać, aby w Polsce wychowywać swoje dzieci. Babcia Maria mimo gościa, który przykuł ją do łóżka, była bardzo apodyktyczna i stanowcza, wszyscy jej słuchali, posłuchał więc też mój ojciec i zaczął powoli organizować

wyjazd. Nie było już w tym czasie łatwo o przesiedlenie, bowiem w II fali repatriantów zgarniano w zasadzie głównie ludzi z zsyłek w ramach łączenia rodzin. Cudem udało się mu załatwić papiery do repatriacji. Mama nie sprzeciwiała się jego postanowieniu, licząc na to, że może w tej nowej Polsce będzie ich czekać lepsze, łatwiejsze życie, choć zapłacić za to będą musieli brakiem rodziny.

Ja jeszcze zdążyłam przyjść na świat w łotewskim mieście o obco brzmiącej nazwie, której wpis w moim dowodzie osobistym wszystkich mocno zadziwił – Tukums (ZSRR). Miałam niecałe dwa lata gdy zabrano mnie w podróż do Polski. Po latach, jeszcze w czasach Związku Radzieckiego, odwiedziłam miasto urodzenia leżące kilkadziesiąt kilometrów od Rygi, na południe od znanego kurortu Jurmała. Rodzice zabrali mnie tam gdy miałam 15 lat. Pojechalismy bez zaproszenia, bo wówczas była to ze względów militarnych tzw. *zaprzeczona zona* (zabroniona strefa). Wybraliśmy się tam nielegalnie przy okazji wyjazdu na Białoruś. Mama bowiem bardzo chciała spotkać się ze swoimi najbliższymi. Ojciec znający Sowietów był mocno zdenerwowany budując sobie scenariusze, co będzie jak nas złapią, jak ktoś doniesie. Zakazał nam wychodzić na ulice, byliśmy jakby w areszcie domowym. Ja nie czułam żadnej identyfikacji z przedstawioną mi rodziną, babcia Helena niegdyś, w pierwszych moich latach, tak dla mnie ważna, teraz była nieznaną starszą osobą. Nie wiedziałam czemu miałam siedzieć zamknięta w

jej domu, chciałam tylko wracać do Polski, znów z Tukumsy do Polski. Wszystko tam było mi obce, wręcz odstręczające. Zawsze powtarzam, że urodziłam się tam przez zbieg okoliczności, jakby przypadkiem.

Wracam do repatriacji. Nasze pierwsze kulawe początki w Pile, niegdyś niemieckim mieście Schneidemühl, które zawsze dla mnie pachniało obcością, pamiętam jak przez mgłę. Zakwaterowano nas w specjalnym, nieotynkowanym bloku przygotowanym na przyjazd repatriantów. Budynek w kształcie prostokątnego klocka, naprzeciwko koszarów wojskowych, 3 klatki, 36 mieszkań, w którym pomieszczono około 70 lokatorów. W rodzinnym albumie zachowały się jeszcze historyczne zdjęcia przedstawiające nasz przyjazd do Piły. Na jednym z nich widać ów blok, wozy, bagaże i przyjezdnych. Na drugim nasza czteroosobowa rodzina już wewnątrz przydzielonego nam mieszkania. Rodzice i brat jacyś mocno wystraszeni, ja siedząc na rękach ojca spoglądałam ciekawie na małą choinkę bożonarodzeniowo przybraną w watę i łańcuch papierowy. Pod choinką leżą na stole chleby i kiełbasa jako świąteczny podarunek. Obok rodziców stoją zadowoleni urzędnicy miejscy, w sylwetkach których uwidacznia się już dobrobyt kontrastujący z chudymi przybyszami z Bugu. To ostatnie zdjęcie zdublowałam będąc na Białorusi, wyciągając je z albumu ciotki. Jest ono dla mnie tym bardziej cenne, gdyż na rewersie mama opisała jak ciężka to była podróż i jak bardzo się bała, gdy ojciec zaniemógł w pociągu. Z przerażeniem myślała co zrobi jeśli

zostanie sama z małymi dziećmi w nieznanym kraju.

Mieszkanie w tym repatrianckim bloku było dość specyficzne, trochę jak w obozie uchodźców. W swojej pamięci zarejestrowałam konflikty między przesiedleńcami, które były na porządku dziennym. Powodów było tysiące – o dzieci, różnice zdań, usłyszane obelgi. Choć wszyscy poczuli się do polskości długo przeżywano się wzajemnie *Ukraincem, Moskałem, Białorusiem, Litwinem* tylko dlatego, że ktoś wrócił stamtąd i mówił z naleciałościami gwarowymi i akcentem z tamtego terenu. Zupełnie jak w satyrycznym filmie *Sami swoi*. Pamiętam doskonale drucianą siatkę jaką odgradzili się od nas mieszkańcy sąsiedniego domu, zakazując swoim dzieciom bawić się z nami. Byliśmy jak zażumieni. Zachowałam w pamięci poczucie winy, gdy przechodziłam przez dziurę w płocie do koleżanki tam mieszkającej i jak bałam się, że jej rodzice mogą mnie wygonić jeśli zajdę do ich mieszkania. Byliśmy o zgrozo *czerwonii* dla tych, którzy zasiedlili Piłę zaraz po wojnie, wcześniej od nas. Nasz dom nazywano

ambasadą radziecką, wytykano palcami. Opowiadano niestworzone historie o tym, jak nie umiemy odnaleźć się w cywilizowanym świecie, hodując w łazienkach kury i inny inwentarz. Tyle upokorzeń, tyle wstydu. Długie lata żyliśmy we własnym świecie, zamknięci w tym swoistym kresowym tyglu. Jednak pewnego dnia zniknęła siatka i zaczęliśmy się wtapiać w tę jakże inną od wyobrażeń ojczynę. To scalanie dotyczy już raczej nas – dzieci repatriantów. Ludziom starszym było znacznie trudniej. Nigdy nie pozbyli się zaśpiewu w mowie, nigdy nie zapomnieli swoich stron, nie umieli całkowicie i do końca wejść w nową rzeczywistość. Nie zapomina się krajiny dzieciństwa i młodości. Nostalgia i smutek pozostają gdzieś na dnie duszy, a obrazy z przeszłości często w wyidealizowanej formie powracają. Choćby bardzo starali się zmienić i tak byli rozpoznawalni, naznaczeni Wschodem. Pamiętam jak starsze kobiety, dawnym zwyczajem, przesiadywały na podwórku w chustkach na głowach, plotkując o wszystkim, mężczyźni zaś spędzali czas we własnym gronie, grając

w karty, często popijając. Kobiety krążyły między dziećmi, domem, ogrodem, pracą zawodową – wiecznie zabiegane, zapracowane, wciąż mające coś do wykonania. Trudno zmienić zwyczaj, najtrudniej jednak zmienia się mentalność.

Długo nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego nowi koledzy wyśmiewają się z nas nazywając *Kacapani*. I ten wstyd, że jesteśmy inni, i ta chęć upodobnienia się. Staraliśmy się jak najszybciej pozbyć zaśpiewu w mowie, chcieliśmy być tacy sami, bawić się z dziećmi z sąsiedniego podwórka nie szukając dziury w siatce. Staliśmy się stąd, jednak jakiś gwóźdź w duszy został, jakaś skaza, zadra. Trudno nazwać to uczucie. Była niechęć mówienia, wracania do tych lat, przyznawania się do bycia repatriantem. Było to wrastanie w nową ziemię ze świadomością, że jest się przesadzoną rośliną. Nie całkiem stąd i już nie stamtąd. Brak ukorzenienia, rodowych tradycji, świadomości pokoleń powodował, że z miastem mego dzieciństwa nie czułam się zrośnięta. A jednocześnie nazwy miejsc tak bliskie sercu moich rodziców, które czasem

wymieniali, były dla mnie tylko pustym brzmieniem. Musiałam to wypełnić treścią. Stąd podróże w ich strony, próba konfrontacji siebie w miejscu swego urodzenia, spotkania z rodziną, która pozostała za Bugiem. Nie zapomnę wujka, który witał nas na peronie w Dyneburgu biało-czerwonymi goździkami, śpiewając *Jeszcze Polska nie zginęła*. Krajobraz nie budził emocji, może tylko łzy krewnych, którym przyszło tam żyć. Tak trudno się odnaleźć, określić swoją tożsamość. Zbyt wiele wątpliwości i zagmatwań. Przerwana ciągłość. Nieznajomość losów dalszej rodziny. Brak poczucia udomowienia.

Nie są to tylko moje dylematy. *Lida* Aleksandra Jurewiczka uzmysłowiła mi, że ta repatriacja tkwi w nas ciągle i nieodwracalnie, i że czasem lepiej o niej mówić niż milczeć, nawet jeśli to bolesne. I – trawestując słowa autora *Lidy* – można powiedzieć, że może we wszyscy jako dzieci repatriantów ... *stojmy na progu czegoś szukając / I słyszymy tylko głuche dudnienie kół pociągu / Nasz pociąg jedzie / Nie zatrzymując się nigdy*.

Grzegorz Grabowski

Trudności Kościoła na Białorusi

Białoruś żyje w cieniu wojny na Ukrainie. Mało kto się interesuje tym, co się w tym kraju dzieje. Ot, izolacjonistyczny reżim, w zasadzie akceptowany przez większość społeczeństwa. Biernego? Nie do końca, bo większość zagranicznych ochotników walczących przeciwko Rosji na ukraińskich frontach to Białorusini. To kolejny naród, który ma dość rosyjskiego imperializmu i rosyjskiego etosu życia dla państwa kierowanego przez zamordystów.

Na Białorusi Kościół rzymskokatolicki przeżywa trudny okres. Władze państwa w sposób brutalny dyscyplinują księży, którzy nie chcą się im podporządkować.



Na zdjęciu: Kościół pw. św. św. Symeona i Heleny w Mińsku. Fot. Bronisław Pastuszewski

W listopadzie 2023 r. ks. Henryk Okołowicz, białoruski kapłan pochodzenia polskiego, proboszcz parafii pw. św. Józefa w Wołożynie na terenie archidiecezji mińsko-mohylewskiej, został pozbawiony wolności. Prokurator oskarżył go o zdradę państwa, 30 grudnia minionego roku wydano wyrok – 11 lat więzienia o zaostrzonym rygorze.

W więzieniu wciąż przebywa, również aresztowany w listopadzie 2023 roku, ks. Pialiak, posługujący w parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Brześciu na terenie diecezji pińskiej. Został pozbawiony wolności pod zarzutem „ekstremizmu”.

Od dwóch lat nieczynny jest kościół pw. św. Symeona i św. Heleny, tzw. *Czerwony Kościół* w Mińsku. To świątynia-symbol, po upadku ZSRR została przywrócona do kultu dla katolików na Białorusi. Jednak prawnie nigdy nie została zwrócona Kościołowi, a jedynie mogła



Na zdjęciu: kościół rzymskokatolicki pw. św. Antoniego Padeuszkiego z 1853 roku w Toloczynie. Fot. Stefan Pastuszewski

być użytkowana przez parafię. Ale nawet to się zmieniło w 2022 r., kiedy doszło do niewielkiego pożaru w świątyni, wywołanego przez nieznaną sprawcę. Pożar stał się pretekstem dla władz do zamknięcia kościoła, a parafii została wymówiona jego „bezpłatna umowa najmu”.

Ze względu na perturbacje prawne, związane z koniecznością powtórnej rejestracji związków wyznaniowych, zawieszono z kolei działalność Wyższego Seminarium Duchownego pw. św. Tomasza z Akwinu w Pińsku.

Trwa proces białorusyzacji

liturgii. Nawet w parafiach, w których większość wiernych to Polacy, nabożeństwa odprawiane są po białorusku, a tylko Ewangelia czytana jest po raz drugi po polsku. Czasem księży w tym języku streszczają też wygłaszane po białorusku kazanie.

Część problemów Kościoła białoruskiego usiłuje rozwiązać w kontaktach z władzą, urzędujący w Mińsku nuncjusz papieski. Większość społeczeństwa jest jednak obojętna, bowiem nad Niemen i Swisłocz też wlała się fala laicyzacji.

Spełnione marzenie - rowerem na Zachód (2)

dokończenie z numeru 01/2025

Wiedź o podróżnikach musiała się rozejść, bo ostatnie dziesięć kilometrów przed granicą z RFN-em milicjanci już pilnowali, żeby bydgoszczanie nie wrócili na szosę. Udało im się wtedy na parkingu dogadać z kierowcą TIR-a wiozącego owce, załadowali na platformę rowery i tak przejechali granicę. To jednak nie był koniec udreki, bowiem po stronie zachodniej także była autostrada. Tamtejsza policja jednak zachowała się zupełnie inaczej. Przez dwanaście kilometrów pilotowano ich do pierwszego zjazdu na normalną szosę. Dostali też mapy na drogę i życzenia szczęśliwej podróży.

Jak Polak z Polakiem

Od samego początku podróż sła wolniej, niż zakładali. W okolicach Akwizgranu na wzniesieniu TIR zajechał im drogę. Wyprzedzając go, kleli siarczyście, a kierowca otworzył drzwi i zawołał „Nareszcie słyszę ojczysty język!”. Okazało się, że człowiek ten uciekł z Polski przez zieloną granicę w 1952 roku. Zaprosił młodzieńców do domu na trzy dni, rowery za-

mknął na klucz w garażu i nakazał, by opowiadali mu o kraju. Dla pokrycia strat zaoferował każdemu po 150 marek.

W Paryżu z kolei mieszkali u rodaka, który zajmował się wynajmem mieszkań. Jedno z nich, luksusowo wyposażone, zaoferował rowerzystom na tydzień za darmo. Jak można było nie skorzystać... Tam okazało się też, jakie mają zaległości w stosunku do Europy, szczególnie kiedy okazało się, że nie wiedzieli, jak się korzysta z najnowocześniejszych urządzeń w toalecie...

4 września na monachijskiej olimpiadzie Polacy i Włosi zdobyli odpowiednio srebrny i złoty medal w kolarskim wyścigu szosowym. Byli tego dnia na weneckiej riwierze, dostali zaproszenie do domu jednego z kibiców, by wspólnie z gospodarzami fetować sukces. Skończyło się to tak, że musieli zostać dwa dni dłużej na miejscu.

W Czechach z kolei zabrakło im już koron, a że dolarów postanowili nie wydawać, więc zamiast ostro pedałowac, rozglądali się po

polach, co by się tu nadawało do zjedzenia. Skończyło to się tym, że zamiast pokonać trasę planowo w 50 dni, wyprawa zajęła im dni 62. Janczewski spóźnił się przez to do pracy trzy dni i od razu dostał zimny prysznic – naganę wpisaną do akt.

Europa da się lubić

W tych czasach przydział dewiz na Zachód można było otrzymać raz na trzy lata na jeden rodzaj wyjazdu. Były trzy możliwości: do krajów kapitalistycznych, afrykańskich państw Maghrebu i do Jugosławii. Janczewski z kolegami wybrali rok później, w 1973 roku, ten ostatni wariant. Byli w luksusowej sytuacji: dolary, które przywieźli z poprzedniej wyprawy, wpłacili na konto w Pewexie i mogli nimi dysponować. Dzięki temu, że Janczewski zdał w międzyczasie egzamin I zaliczył praktykę jako pilot wycieczek zagranicznych, mógł pozakładać sobie konta w walutach krajów „demoludów”, więc komfort w porównaniu z pierwszą wyprawą był ogromny. Przejechali w sumie około 4 tys. kilometrów przez wszystkie jugosłowiańskie re-

publiki. Niezapomnianych wrażeń dostarczyła przede wszystkim jazda wzdłuż adriatyckiego wybrzeża.

W 1976 roku Janczewski zaliczył Skandynawię, wracając przez Holandię i RFN oraz NRD. Dwa lata później wybrał się na Wyspy Brytyjskie. Miał bilet wykupiony na prom z Hoek van Holland do Londynu, a tymczasem znów NRD-owcy wyrzucili go w Magdeburgu z pociągu. W pięć dni musiał pokonywać średnio po 160 km dziennie, by zdążyć na prom. Udało się, a że był tam wraz z towarzyszącymi mu kolegami Polakami, to choć nie mieli wykupionego żywienia, pozwolono im jeść ze wszystkimi i jeszcze zabrać ze sobą na drogę, co tylko się dało. W Anglii zaś horrorem było poruszanie się po lewej stronie. Ratunkiem okazała się jazda bocznymi drogami, gdzie był mały ruch.

Potem była jeszcze Turcja, którą Janczewski objechał rowerem calutką dookoła. Później „przerzucił się” na pilotowanie wycieczek i rowerem poruszał się już tylko po Polsce. Jeździł nim do samego końca życia...

Stefan Pastuszewski

Oby, oby!...

Wyludniające się i słabnące ekonomicznie, między innymi za sprawą wprowadzenia waluty *euro*, państwa inflanckie znów robią propagandę, aby nie zginąć w tłumie coraz większej ilości światowych i europejskich zdarzeń. Niedawno pisaliśmy o liderowaniu Estonii w „pyszczeniu” na Rosję, równocześnie dowodząc, i to namacalnie, poprzez odwiedziny wschodniej granicy Estonii, że lokalne relacje z Rosją są jak za dawnych czasów, także na Łotwie. Handelek, choć już nie indywidualny, kwitnie.

Pijar Infantczyków od lat pozostaje w dysonansie z budową, a raczej jej brakiem, trasy drogowej *Via Baltica*. Polska swoje odcinki w zasadzie zrealizowała, a Estonia, Łotwa, Litwa... Podczas ostatniej eskapady (2024) Bractwo Inflanckie z tru-

dem przebijaliśmy się przez cały czas „budowane” odcinki owej sławetnej *Via*.

Wojciech Kulecki pisze („Tygodnik Solidarność” 2024, nr 48, s. 24-25):

„Bałtycko-skandynawski koncern *Rail Baltica* to jeden z największych europejskich projektów infrastruktury dużych prędkości, którego celem jest utworzenie nowoczesnego i zrównoważonego połączenia kolejowego łączącego

państwa bałtyckie: Estonię, Łotwę i Litwę, z europejską siecią kolejową. Jest również częścią transeuropejskiego korytarza transportowego.

Rail Baltica będzie w pełni zelektryfikowana, dwutorową koleją o standardowym rozstawie torów 1435 mm, wyposażoną w ERTMS (Europejski System Zarządzania Ruchem Kolejowym) i zaprojektowaną tak, aby spełniała wszystkie europejskie normy. Przy projektowej prędkości 249 kilometrów na godzinę *Rail Baltica* znacznie skróci czas podróży między państwami bałtyckimi a głównymi miastami europejskimi. Będzie służyć jako nowoczesna infrastruktura dla mobilności pasażerów, towarów i wojska - ma także ułatwiać biznes, promować turystykę i wymianę kulturalną. Projekt wzmocnić ma również pozycję regionu bałtyckiego jako ważnego węzła tranzytowego, wspierając silniejsze połączenia handlowe, również z Chinami i Indiami.

Modelem budowy i funkcjonowania największego projektu europejskich kolei jest partnerstwo

publiczno-prywatne przy zastrzeżeniu, że prawa właścicielskie pozostaną w rękach rządów Litwy, Łotwy i Estonii, zaś obecni pracownicy kolei nie stracą pracy. Zamiast tego zostaną przeszkoleni do obsługi najnowocześniejszych na kontynencie pociągów.

Na zbudowanie kolei, które mają zagwarantować transport ludzi i towarów superszybкими pociągami z ostatnią stacją w Lizbonie, w Portugalii, pieniądze wyłożyli nie tylko prywatni inwestorzy. Trafiły tam również fundusze z europejskiego programu *Connecting Europe Facility* (*Łącząc Europę*) – na razie 1,394 mld euro, choć *Rail Baltica* zapowiada, że będzie się starać o kolejne pieniądze w przyszłorocznym budżecie unijnym. Ma na nie szanse, bo *Rail Baltica* nie ma konkurentów w naszej części kontynentu. Polskie Koleje Państwowe, które były zaproszone do współpracy w ramach projektu, nie zdecydowały się na nią (...).

Polski przewoźnik nie będzie już pośrednikiem w handlu między Wschodem a Unią Europejską. Wystarczy, że PKP udostępni – a będzie musiało wobec unijnej polityki spójności – sieć trakcyjną odpowiedniej jakości. Resztę załatwią pociągi nowo powstającej transbałtyckiej kolei”.

Oby, oby!...



Na zdjęciu: Dworzec kolejowy w Rzeżycy (Rēzekne). W mieście tym krzyżują się dwie linie kolejowe, stąd dwa dworce odległe od siebie o kilometr. Fot. Stefan Pastuszewski.

Andrzej Stanisław Sepiół

KIRCHOLM 1605

Cztery krainy Łotwy:

Liwonia, Łatgalia, Kurlandia, Semigalia.

Prawy brzeg Dźwiny w Liwonii;

miejsowość Salaspils, wówczas Kircholm w Inflantach.

Wyspiarska twierdza.

27 wrzesień Anno Domini 1605.

Dwa przeciwległe wzgórze, a między nimi

w dolinie rozległa równina.

Z wierzchołka wzgórz lustrują przedpole

dwaj pretendenci do wygranej : dwaj Karole;

Karol IX Sudermański i Jan Karol Chodkiewicz.

Jaka będzie tego dnia rola obydwu z Karoli?

Nad Karolem Sudermańskim czerwona chorągiew z trzema koronami;

w pobliżu największa chorągiew gwardii królewskiej

z napisem : „Sum, sum, sum (jestem, jestem, jestem)”.

Nad Janem Karolem Chodkiewiczem chorągiew hetmańska litewska

z herbem Pogoni i obrazem Św. Stanisława.

Na jednym wzgórzu piechota i jazda szwedzka ustawione w szachownicę;

na drugim wzgórzu husaria i towarzysze pancerni, jak zwinięta anakonda.

Husaria – przez okres 150 lat najlepsza jazda świata.

Zbrojna m. in. w liczące 5,5 metra kopie.

Każdy husarz w półbroi ze skrzydłami z piór orlich,

sokolich, jastrzębich, lub kruczych.

Ponad trzykrotna przewaga Szwedów w ilości żołnierzy.

Upozorowana ucieczka części jazdy polsko-litewskiej

pod dowództwem rotmistrza Tomasza Dąbrowy.

Taktyczny gambit w tych szachach Jana Karola Chodkiewicza.

Zaledwie 20 minut wczesnego popołudnia i losy rozstrzygnięte.

Zaledwie trzy godziny uporczywej walki.

Resztki armii szwedzkiej w popłochu uciekły z placu boju.

Historia świata niewiele zna tak pełnych zwycięstw.

Ani jednego przy takiej dysproporcji sił.

To nie Ausculum – Pyrrus oniemiałby z wrażenia.

Armia szwedzka traci 9.000 żołnierzy, a polsko-litewska

zaledwie 100 jeźdźców (w tym 13 husarzy).

Na placu boju husarze pozostawiają tylko pokruszone kopie;

żał też 150-ciu zabitych , przeważnie wspaniałych, cennych koni.

Za sprzedaż takiego konia za granicę groziła kara śmierci.

Karol Karolowi nierówny.

Rola każdego z nich świadczy o nim samym.

Kamień w Salaspils mówi doskonale:

„Tutaj 27 września 1605 r. , poświęcając siebie, inflancki szlachcic Henryk Wrede oddał konia szwedzkiemu królowi Karolowi IX, ratując mu życie, ale na polu bitwy zginęło 9.000 żołnierzy królewskich”.

Karol Sudermański umknął z pola bitwy.

Na jednego zabitego husarza przypadło zaś prawie 700 zabitych Szwedów.

Pod stopy hetmana Jana Karola Chodkiewicza

rzucono chorągwie i sztandary wroga, a jest ich 60.

Czyż wśród nich znajduje się ta z łacińskim napisem :

„Sum, sum, sum (jestem , jestem, jestem)?” Po trzykroć „jestem.”

Najtrudniejsze decyzje wojenne wydają się być proste;

rzeczy proste są najtrudniejsze.



Na zdjęciu: Dźwina pod Kircholmem



Na zdjęciu: Bractwo Inflanckie pod pomnikiem pamięci Bitwy pod Kircholmem



Na zdjęciu: wyspa Ikskile na Dźwinie pod Kircholmem

Świat Inflant Pismo literacko-naukowe Wydawca: Bractwo Inflanckie 85-010 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 62/1 , tel./fax (052) 321 33 71, e-mail: akant24@wp.pl

Redaguje kolegium: Andrzej Bogucki - Piekuns, Stefan Pastuszewski -Lauva (redaktor naczelny), Roman Sidorkiewicz - Klijans, Henryk Tokarz, Malwina Witucka-Krygier (sekretarz redakcji)

Rada redakcyjna: Helena Bagierńska (Windawa – Ventspils), Jan Hryniewicz (Ryga – Riga), Rafał Berger (Bydgoszcz), Maciej Bułak -Balachowicz (Warszawa), Bogusław Dybaś (Toruń), Paweł Bogdan Gąsiorowski - Zosteviniš (Bydgoszcz), Aarne Puu (Kraków), Alina Tsvetkova (Järva-Jaani), Mahmud Taha Żuk (Warszawa).